

Feliks W. Kres

GÓWNO

Opowiadanie

Łódź, maj 2004

1.

Olbrzymi plac, położony tuż obok portu, dźwigał na szerokich plecach targowisko. Handlowano tu przez okrągły rok, wyjąwszy miesiące jesienne, kiedy to kapryśna pogoda zmuszała zarówno sprzedawców jak i nabywców do oczekiwania na spokojne dni. Jesienne sztormy, tłukące brzegi Garry, przybywały na skrzydłach wichrów, które na otwartym placu w mgnieniu oka mogły unicestwić setki bud i kramów; jesienią handel zamierał, uciekał do niezliczonych sklepików, jarmarczne budy zaś z otwartego rynku przenoszono w głąb ulic, gdzie tuliły się do ścian domów. Teraz jednak trwała wiosna i na Morskim Targu kłębił się pośród straganów wielojęzyczny tłum, złożony z przedstawicieli wszystkich możliwych profesji – i wątpić należy, czy pod niebem Szereru istniało coś, czego nie można by na Morskim Targu kupić. Ot, na skraju placu, pod płóciennym daszkiem, na zydelku, siedział smutny grubasek sprzedający łodzie; wprawdzie nic takiego na straganie nie miał, ale za to na szyldzie widniał bardzo ładny malunek rzecznej szkuty, który to malunek, dla większej pewności, objaśniono napisami w czterech głównych językach Szereru. Widniało tam: BARKI I ŁODZIE, KUPNO-SPRZEDAŻ. Smutny grubasek trzymał flaszkę z inkaustem i plik czystych kart, na których to kartach sporządzić mógł zaraz umowę o zupełnie dowolnej treści.

Na grubaska, na szyld, a na koniec i na butlę z inkaustem spozierał właśnie trzydziestokilkuletni, łysy jak kolano mężczyzna; ani chybi, to jego wygląd był przyczyną smutku na twarzy handlarza. Potrącany przez przechodniów łysol gapił się i ani drgnął, był to bowiem nie grubasek, a grubas, na dodatek grubas wysoki, zdrowy, krzepki do nieprzyzwoitości; grubas który, jak się zdawało, jednym pierdnięciem po wieczery wymieść mógł gości z najobszerniejszej gospody. Korpulentny kupiec na zydelku na pewno nie mógł dokonać podobnego czynu, miał więc czego olbrzymowi zazdrościć. Popatrzyli na siebie – jeden smutno, drugi z wyższością – po czym grubas odszedł, trzęsąc gruntem przy każdym postawieniu stopy.

Z jakichś powodów, tłusćciochy cieszą się zazwyczaj opinią ludzi dobrodusznym i poczciwym. Sprzedawca łodzi przyglądał się brzuchowi, nie zaś twarzy łysola i prawdopodobnie z tego tylko powodu nie obsikał swojego zydelka, była to bowiem twarz sukinsyna jakich mało, draba niemiłego a wstrętnego, któremu na dodatek przynajmniej cztery razy śmierć z bliska zajrzała w oczy. Cztery razy – bo wielki tłusćcioch tyle właśnie szram nosił na paskudnej gębie i nie były to bynajmniej pamiątki po nieuważnym goleniu. Policzek rozchlastano jakimś długim ostrzem, prawdopodobnie mieczem, podobnym narzędziem naznaczono też czerep, który dzięki temu upodobił się mocno do zadka. Pod okiem widniała mniejsza blizna, chyba od noża, a łuk brwiowy, zgrubiał na całej długości, rozwalono przed laty maczugą, albo może wyjątkowo mocną pięścią. Przeciskając się przez tłum, grubas straszył przechodniów gębą, a gdy to nie pomagało, bezceremonialnie odsuwał ich na boki, używając ręki, która poniżej łokcia miała grubość łydki, a powyżej – uda. Wyjął bułkę z kosza niesionego przez sprzedawcę, zapłacił, włożył ją do ust, pożarł i ruszył dalej, aż dotarł do czegoś w rodzaju karczmy pod gołym niebem.

Na dość znacznej przestrzeni ustawiono ogromne stoły i bardzo długie ławy, między którymi stale kręcili się przekupnie, ale tylko tacy, którzy oferowali jadło bądź napitki, bo innych przekupniów do stołów nie puszczano. Na szerokich blatach, oprócz misek ze strawą i kubków, leżały najrozmaitsze dobra, oglądane przez zadowolonych albo skwaszonych nabywców; widywało się całe rodziny, które poczyniwszy zakupy, posilały się teraz i cieszyły, ale jeszcze częściej kłóciły bądź nad czymś zastanawiały.

Grubas usiadł na ławce, posłuchał skrzypienia pod dupskiem, gdy skrzypienie zamieniło się w trzeszczenie wstał i poszedł ku następnej ławce, usiadł raz jeszcze, zachowując najwyższą ostrożność, znowu wstał i wypatrzywszy tęgi słup, do którego przytwierdzone były wskazujące drogę tabliczki z najrozmaitszymi rysunkami, oparł się oń, założył rękę na piersi i odpoczywał stojąc, skoro siedzieć niestety nie mógł. Oglądał tłum przy stołach, było to jednak spojrzenie zwykłego gapia – kogoś, kto nikogo nie szuka, na nikogo nie czeka; ot, po prostu przygląda się ludziom, tak jak przyglądałby się gdzie indziej mewom albo drzewom.

Niedaleko miejsca, w którym stał, widniała wolna przestrzeń – wyglądało to tak, jakby jeden stół spomiędzy innych wyniesiono, może dla dokonania naprawy (czyżby usiadł na nim ktoś ciężki?...). Na ławach wokół tego miejsca wydzieraa się jakaś banda zbójów, niechlujnych że aż przykro, za to obwieszonych złotymi kolczykami, umocowanymi gdzie tylko się dało, a były to kolczyki o rozmiarach kółek, które wpina się bykom w nozdrza. Między zbirami siedzieli dwaj muzykanci – jeden wcale zręcznie wypukiwał rytm na bębenku, drugi zaś piskał na flecie czy fujarce. Wrzaski gruchnęły ze zdwojoną mocą, przeradzając się w owację, po czym przycichły; w kręgu gapiów pojawiła się dziewczyna.

Nie tylko łysy grubas oglądał niezwykle występ. Coraz więcej ludzi podnosiło się z ław, chcąc zobaczyć tancerkę nad głowami siedzących obwiesiów. Wirująca w tańcu bosonoga dziewczyna podniosła stary marynarski płas do rangi oszałamiającego widowiska, kręcąc się z rozkrzyżowanymi ramionami, to znów unosząc je nad głowę, przeplatając krok w lewo albo w prawo – a wszystko to czyniła na oslep, bo z zawiązanymi barwnym fularem oczami. Miała na sobie rozdartą i zawiązaną na węzeł koszulę, okrywającą bardzo duże piersi, pękate niczym dwa dzbanki, niżej zaś nosiła szare żeglarskie hajdawery, nad którymi widniał goły, wydęty, ładnie zaokrąglony, siedmio- lub ośmiomiesięczny brzusek. Na owym brzuszku, trochę powyżej pępka, bardzo starannie po garyjsku napisano inkaustem „skurwysyn” – uchodziło to pewnie za przepyszny żart. Litery na spoczonej skórze zaczynały się powoli rozplływać.

Melodia nabierała tempa, brudne draby zdumiewająco składnie, coraz szybciej nuciły każdy refren, trzaskając przy tym w palce; było całkiem jasne, że piękna pannica nie po raz pierwszy tańczy dla tych ludzi. Wymykające się spod chustki niebywale bujne, potargane włosy zakrywały to znów odsłaniały twarz, której widoczna pod fularem część wydawała się wprost doskonała; tych rysów nie mógł oszpecić nawet krowi – bo co z tego, że złoty? – kolczyk wpięty w przegrodę nosową, tak gruby, ciężki i wielki, że opierał się na górnej wardze. Dzwoniły bransolety i łańcuszki opinające kostki nóg, migotały pierścionki na palcach dłoni i stóp. Zachwycony wdziękiem i urodą młodej kobiety, oparty o słup grubas mimowiednie jął się uśmiechać i w tym uśmiechu jego szpetne bandyckie oblicze ogromnie złagodniało. Może jednak nie bez kozery uważano tłuściochów za ludzi dobronudnych i poczciwych?... Ten jednak, poczciwy czy nie, był na pewno mało spostrzegawczy; uśmiechając się do swych myśli jakos nie zauważył, że dziwnie wielu ludzi, raz tylko zerknąwszy na tancerkę oddalało się spiesznie, zamiast podziwiać występ.

W opętanym rytmie nadawanym przez bębenek, którego głos był teraz nieustannym, rozfalowanym turkotem, dziewczyna pobiegła po okręgu i zrobiła figurę powszechnie zwaną gwiazdą – a następnie machnęła jeszcze jedną, jeszcze i jeszcze... Na oczach osłupiałych ze zdumienia i podziwu widzów (bo choć wielu uciekło, to równie wielu zostało), brzemienista tancerka kręciła się z szybkością, która urągała wyobrażeniom o ludzkich możliwościach, a już szczególnie możliwościach kobiety w odmiennym stanie – spowita w furkot swych szerokich hajdawerów, roześmiana, ze skotłowanymi włosami i zupełnie już rozwiązana koszulą, odsłaniającą piersi, a raczej tylko ich rozmazane zarysy. Na sam koniec wykonała w powietrzu pełen obrót i gruchnęła na ziemię w środku kręgu, z nogami wyciągniętymi w szpagacie. Muzyka umilkła i w nagłej ciszy słychać było stłumiony okrzyk jakiejś kobiety, mającej chyba niezbitą pewność, że pannica z wymazanym inkaustem brzuchem lada chwila poroni.

Ale nie poroniła. Bezwstydnie półnaga, roześmiana, oburącz sięgnęła pod włosy, rozwiązała i zdjęła z twarzy zasłaniający oczy fular, po czym powiodła spojrzeniem najpierw po obliczach swych kompanów, a następnie po oniemiałych widzach.

Ktoś nie wytrzymał i zaklął. Piękna tancerka nie miała oka, zaś miejsce po nim zdawało się dowodzić, że wydarło je z największą brutalnością, może w jakiejś bójce na noże, bo na pewno nie straciła go za sprawą wypadku. Pusty, obwiedziony krzywymi fałdami blizn oczodół wywierał wstrząsające wrażenie; tym większe, że osadzony był w twarzy o tak regularnych rysach.

Mocno zbudowany, chyba lekko podpity mężczyzna z pięcioletnim malcem na plecach pospiesznie zszedł dziecko na ziemię, chcąc je ustrzec już nie tyle przed gorszącym widokiem obnażonych piersi dziewczyny, co przed strasznym obrazem jej okaleczonej twarzy. Być może to temu właśnie człowiekowi wydarło się przekleństwo, zrodzone z zaskoczenia i zgrozy. Tancerka patrzyła teraz wprost na niego i w chwili, gdy już miał się oddalić, powiedziała zdyszany, ale wyraźnie brzmiącym głosem:

– Hej, ty tam!... Mówiłeś coś?

Mężczyzna obejrzał się odruchowo i poznał, że odezwała się właśnie do niego.

– Ja? – zapytał niepewnie.

Usiadła na ziemi na podwiniętych nogach, niespiesznie zawiązując nowy węzeł na przepoczonej pod pachami koszuli, która żadną miarą nie chciała okryć ciężkich kul, rozkołysanych nad wydętym brzuchem.

– Tak, ty właśnie, tatuśku. Chodź no tu.

– No, akurat.

Bez żadnej komendy, trzech zbirów jednocześnie rzuciło się ku mężczyźnie, odpychając stojących im na drodze ludzi, którzy zresztą zaczęli pierzchać widząc, co się święci. Zaskoczony mężczyzna pochwycony został za ramiona i łeb, w mgnieniu oka oberwał pięścią w zęby, potem jeszcze dwa razy. Wrzeszczący wniebogłosy malec uczeplił się jego nogi, ale brudny drał z trzema kolczykami wpiętymi w złamany nos oderwał go, potem capnął za kark i powlókł śladem zakrwawionego ojca, któremu spomiędzy połamanych zębów ciekła krew. Brzemienista piękność już nie siedziała na ziemi, pokazała tylko gestem, żeby przytrzymać pojmanego i z uśmiechem pochyliła się ku chłopcu, zbliżając swą okropną twarz do jego twarzy. Pogroziła dzieciakowi palcem i zaśmiała się głośno.

– No co, mały? Twój tata jest pewno największy i najsilniejszy?...

Cztery draby siedziały na nogach i ramionach poturbowanego mężczyzny, który krztusząc się próbował wykręcić głowę w bok. Zobaczył trzymanego w powietrzu, półżywego ze strachu, duszącego się łzami syna, któremu świat właśnie rozpadał się w kawałki. Gdy ma się pięć lat, w wielkiej dłoni ojca zaklęte są wszystkie siły i potęgi świata... Nadludzkim wysiłkiem, nieszczęśnik zdołał oswobodzić jedno ramię, lecz natychmiast wykręcono je z powrotem. Wszystko co największe dla mężczyzny: złudne lecz krzepiące poczucie bezpieczeństwa, jakie daje swoim najbliższym, zamordowane zostało przez kilku brudnych drabów.

Rozbrzmiał flet, a zaraz po nim bębenek w dzikim rytmie ber-bera. Brzuchata piękność wydała przeraźliwy pisk i skoczyła na plecy unieruchomionemu mężczyźnie, tratując go w tańcu, z całej siły waląc piętami, skacząc opętancko w rytmie nadawanym przez muzykę, ale w sposób niemający nic wspólnego z prostym płasem objętych ramionami marynarzy.

Dzieciak wył jak katowany pies.

– Zawołaj tatę! Zawołaj tatę, no! – rehotliwie namawiał trzymający go drab, tak wielki, że większy nawet od

grubasa pod słupe, po czym sam zaczął wołać cieniem głosem: – Tato! Chodź tutaj! Taatuuś!

Dławiący się, płaczący z bezsilności mężczyzna wytrzymał wszystko, lecz nie sprostał uderzeniu kolan, gdy skoczyła w górę i całym ciężarem spadła mu na plecy. Krzyknął ochryple, wykrztuszając z ust ślinę i krew. Zerwała się i dzwoniąc bransoletami, pokrzykując wojowniczo i klaszcząc przed twarzą, znowu tłukła piętami nerki leżącego; było jasne, że mężczyzna zaraz skona, a w najlepszym wypadku na zawsze zostanie kaleką. Lecz straciła równowagę gdy noga jej się omsknęła; musiała zeskoczyć z pleców katowanego.

– Leżeć, świnio! – wrzasnęła rozgniewana i kopnęła mężczyznę w bok, szczerząc zęby, po czym znowu kolanami grzmotnęła go w kark. – Masz spokojnie leżeć, kiedy tańczę!

Pochwyciła mężczyznę za włosy, szarpnęła głowę do góry i pochylając się mocno, niemal przykładając policzek do jego policzka, wycelowała wskazujący palec w jedno z wytrzeszczonych, półprzytomnych oczu.

– Nie podobam ci się?... No to zaraz będziesz wyglądał tak jak ja.

Pośród zgiełku wszczynanego przez rozradowanych drabów, w tle którego ledwie było słycać spazmatyczne wycia dzieciaka, wielki tłuścioch oderwał plecy od słupa i postąpił dwa kroki naprzód. Ktoś chwycił go za ramię. Łysa głowa odwróciła się powoli, a wyblakłe oczy ze zdumieniem ogarnęły postać zuchwalca. Trzydziestoletni szczupły mężczyzna, przy mieczu, w stroju, który mógł być strojem awanturника-obieżyświata, nie uląkł się, choć poznaczona bliznami twarz grubego zabijaki mogła wyrzeć wrażenie na każdym.

– Co robisz? Straciłeś rozum?

– Zabiją go, a dzieciak patrzy – rzekł tłuścioch, wrywając rękę z uścisku.

– Zabiją i ciebie, głupi. Sam jesteś, a ich dziesięciu!

– Ani głupi, ani sam, patrol już idzie... Puszczaj, bo cię...

W samej rzeczy, przeciskając się przez zmieszana, odpływającą coraz dalej ciżbę wystraszonych ludzi, pośpieszali żołnierze z miejskiego patrolu, a raczej dwóch połączonych patroli, bo było ich aż sześciu.

– Patrol?! – syknął awanturnik. – Skąd ty jesteś, skąd cię przyniosło?! Co ty?... Nie wiesz, kto to jest?!

– A kto niby? – tłuścioch po raz drugi wyrwał rękę i zamierzył się wcale nie na żarty.

– Gównno! – cisnął mężczyzna odskakując.

– O ty, twoja... – łysol pochwycił go za przyodziełek na piersi.

– Mówią na nią Gównno! Taka jest! Patrz na swoich wojaków, mądralo... no puuszczaj mnie i patrz! A potem daj się zabić, jeśli chcesz!

Grubasa spojrział na żołnierzy z patrolu. Właśnie odwracali się plecami i pospiesznie wracali tą samą drogą, co przyszli.

Imperialni żołnierze byli jacy byli. Lecz do wojska nikogo nie wcielano siłą; w zamian niejednego wyrzucono. Pijaństwo na służbie bądź przemykanie oczu na jawne bezprawie (a jeszcze wobec tak licznych świadków!) – podobne rzeczy w imperialnych legiach w ogóle się nie zdarzały.

– Co to jest? – wymamrotał osłupiały łysol.

– To jest patrol straży na ulicach Dranu – wycodził przez zęby natręt. – Ona może tu robić, co chce, a to wojsko ci nie pomoże, bo gotowe jest raczej złapać cię dla niej i trzymać... Życie ci zbrzydło? Chodź stąd, już!

Oniemiały tłuścioch dał się odciągnąć od miejsca, gdzie wciąż jeszcze turkotał bębnek i zawodził flet. Dziewczyna znowu tańczyła, krzycząc co sił w płucach, piszcząc i klaszcząc nad głową.